

Adolf Nowaczyński

S z k o d a B a r r a c c i

Bratni hiszpański dziennik „ABC” wychodził w najcięższych dniach rewolucji bez przerwy. W kolportażu i rozsyłaniu pomagała tak młodzież uniwersytecka, jak i działawia ze szkół. Toteż kiedy grzmiały armaty i grały karabiny maszynowe, kiedy rozwalano barykady, dokończano mieszkania, a przez kilka godzin szalała wojna domowa i rzeź bratnia, narodowe, umiarkowane, patriotyczne, kulturalne, ale twarde w tonie i stylu „ABC” docierało do najdalszych przedmieść Madrytu i do najdalszych miasteczek Iberji, z których nie była zerwana komunikacja kolejowa.

Toteż musiało bratnie „ABC” w Madrycie dać swoim czytelnikom także i jedną, bardzo niezwykłą, wiadomość. Oto podczas, gdy rebelja właśnie się przygotowywała, podczas gdy zjednoczeni anarchiści, socjaliści, komuniści, syndykaliści już wyciągali broń zamagazynowaną w „domach Marksa” i w prywatnych mieszkaniach tak wodzów (Prieto), jak i pospolitych hersztów (Caballero), podczas gdy nafta sowiecka (sic!) już napelniano blaszanki, aby ją potem wylewać we wnętrza czterechsetletnich kościołów i katedr... tuż nad granicą Portugalji w małym miasteczku Merida odbywał się piękny festiwal teatralny.

W Merida bywają z końcem września, a początkiem października wielkie targi konne, na które zjeżdża się cała Estramadura i inne także. Styl, zdaje się, dawnych „kontraktów kijowskich” ze szlachetną w hotelach, z walkami byków, z ludowymi zabawami i festynami chłopskimi, z tancowaniem, opilstwem, a może i porubstwem, czyli rują (Ruy Blas).

Kilku młodych literatów z „Cafe Piombo” w Madrycie postanowiło sobie te targi konne i bycze sobie uszlachetnić.

Od trzech lat istnieje w Hiszpanji taka Reduta, jak dawniej u nas Reduta - Osterwa. Nawet się pono na niej wzorowała. A trochę na teatralnych staggione w Salzburgu. Nawiasowo mówiąc conieco u nas zanadto się lekceważy dzieło, którego swego czasu dokonał Osterwa. W dalszej konsekwencji tego lekceważenia, czy zapomnienia, całkiem zabrakło i dla niego, jak i dla Solskiego właściwego miejsca w stolicy (right man in right place) i zasłużony działacz i organizator teatralny deportowany został dożywotnio do Krakowa na synekurację i przedwczesny uwiąd w sławie i w chwale. A tymczasem, jeżeli już ta Reduta karta dziejów teatru należy koniecznie do bezpowrotnej przeszłości, to nie powinna być „zagnionym światem”.

Na tle rozkwitu Reduty, jej objazdów duszpasterskich, jej promieniowania w dzikie pola, na tle jej klastorkowej obyczajowości wewnętrznej dałby się skomponować najpiękniejszy film polski, splatający uroki pejzażowe z czarem misjonarskiego żywota, wysoce uszlachetnionej cyganerii aktorskiej, a byłoby w tem dość miejsca i dla tragicznych konfliktów i dla kapitalnej humorystyk, a szczypta romantyzmu teżby się znalazła. Te cymbały i bęwały (mowa teraz o specjalistach branży ekranowej) rokrocznie wynajdują coraz to ordynarniejsze i kretyniczniejsze scenariusze filmowe, nadal obgrzyżają ostatnie, wyciągnięte z trumien kości po gubernatorach i gradonaczalnikach carskosielsko-rosyjskich, a mimo tylu przy Reducie szwendających się kibiców i pentaków, nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby z... „Księcia Niezłomnego”, zagranego ongi przez Bractwo Osterwie w Słowackim Krzemieńcu, zrobić niedużym kosztem najpiękniejszy dotychczas film polski. Bym był rządem, chwierć miliona bez bólu prawa ręką wyasygnowałaby lewej ręką i z wiosną 1935 r. do roboty. Ale gadajże tu z Bebykami, jak do lampy, skoro ich wziął w monopol ten szam-pion polskich pechowców, gwiazdor wszelkich kompromitacji, może chyba koń Trojański w Sanańskiej Troi, w teatrze

z a d e n, do rymu Kaden, oczywiście nie Danny Kaden, ale Juliusz Bandrowski.

Nawias zamknąć. Hiszpańska „Reduta” zdecydowała tedy uszlachetnić tegoroczne kontrakty i targi konne w kresowem miasteczku Merida. Są tam bowiem cudne ruiny, a raczej nie tyle ruiny, ile teatr, amfiteatr cokolwiek zrujnowany, bo liczy lat 1900 z przysypką. Wybudowali go wraz z wielkim akwaduktem jeszcze za czasów Cezara Augusta, ale z materiału tak nie demokratycznego i tak solidnego, że jeszcze dzisiaj wszystko tak stoi na swoim miejscu, jak stało, tylko się „ku starości nieco” pozwalalo. „Grać w tem można”, jak mawiał lat temu dziesięć Osterwa, znalazłszy się w starej magnackiej oborze, z której przed wieczorem wyprowadzano c z w o r o n o z n e bydlę. Taksamo pomysli sobie w „Cafe Piombo” pewnego dnia don Cipriano Rivas - Cheriff, don Garcia Losca (poeta) i seniora Margerita Xirgu, najmłodsza, a już największa tragiczka scen hiszpańskich. Przez poprzednie lata grywali i zgrywali się już wszędzie. Nie było takiej zapadłej Barki czy Manchy, do którejby nie zajechał

wielki wóz Tespisa don Cipriana. Tak samo, jak Osterwacy: to kolejami, to Suizami z kąta w kąt, z dziury w dziurę i Smoregonia i Paccanora.

„Taki los wypadł nam, że dziś tu, jutro tam”.

Jako te „Pajace” Mascagniego, jako ta Contrabanda Bizeta, jako ten z przeszlicznego filmu statek z aktorami na rzece Mississippi...

Subwencjonował tę propagandę żywego, gorącego słowa hiszpańskiego rząd lewicowy. Robił sobie reklamę patronowaniem i faworyzowaniem „La Barracca”, t. j. Federacji Etudiantów (studentów), artystów, don F. L. de Los Rios, dziki rozmiarzony pyskaty radykał, mason, ambitny marran i massson, balwan, a tak w karierowiczostwie zajadły, że kiedy go wreszcie ze stolca ministra oświaty usunęto, a potem wogóle z Jelitę suwerynów (ze su terynów) przepędzono, popadł z wściekłości aż w komunisty, no, i teraz „profesor” najprawdopodobniej już siedzi w „carcer modele”, pijąc ośle mleko i zagryza czosnkiem. Czort z nim!

Niestety, tą protekcją czerwonego furjanta i typowego intelek-

tualnego Arysparcha (Freud, Proust, Einstein, Vicki Baum, Asch, Basch, Lecache, Vanderelde, Bronstein, Bernstein, Piti-grilli, Magnus Hirschfeld) obcią żona też jest w dużej mierze i „La Barracca”. By móc działać, jeździć, grać, „pokazywać” i mieć na to rządową subwencję, musiała trupa amatorów, ale wysoce rutynowanych i wykształconych, asymilować się nieco czerwoniastu, ba nawet komunistycznie. Rzecz prosta, że w konsekwencji i doboru repertuarowego i stylu reżyserskiego (Jessner, Meyerhold, Gremier) hiszpańska prasa umiarkowana, burżujska, chrześcijańska, moralna i normalna od „ABC” począwszy musiała wziąć się coraz ostrzej do „Barracca” i rznąć jej „poczynania”, a czasem poronienia, co się wlezie. W państwie, w narodzie o najwspanialszej, najstarszej monumentalnej tradycji kultury teatralnej, tam, gdzie się rozwijała potężna cyklopa twórczości Brata Lone de Vegi, księdza Calderona, przeora Tisso de Molina, w kraju, gdzie są place i ulice Zorilli i ulice i place Echegaraya nie może być na długo zbyt wiele miejsca dla barbarzyńskich i europejskich eksperymentatorów, reformatorów

zbyt cyrkowych, czy rewjowych, dla dybuków habimaniaków, pyskatorów... Toteż i „La Barracca” dość szybko opamiętała się i o-przytomniała. Co mogło się podobać w Czerniowcach, w Łodzi, w Tel - Awi i w Tel - Będzin nie mogła dłużej tolerować Sewilla lub Granada. Zmienili się z biegiem trzech lat i reduciarze z „Barracca”.

Teraz w Merida w Amfiteatrze starożytnym pięciotysięcznej publiczności grano już rzeczy całkiem nowe, ale równocześnie bardzo stare: „Medea” Seneci i „Elektra”... Hoffmansthal.

Pierwszy dramat przerobił i u-nowocześnił nie kto inny, jak sam Unamuno.

Obchodził on niedawno swoje siedemdziesięciolecie w całkowitej samotności w Salamance, gdzie jest profesorem uniwersytetu. Co ten wielki pisarz i wielki charakter, „ojciec republiki” musiał wycierpieć w ostatnich czasach, to można sobie wyimagi-nować, znając jego całą działalność pisarską i polityczną. Dość powiedzieć, że Unamuno przedewszystkiem był z pochodzenia dzielnicowym Baskiem i ostatnio musiał dożyć tego, że jego umiłowani „krajanie” (sąsiadują z

Galicią, więc „krajanie”), do-stawczy stadowego porażenia mózgowego (temperatura była tropikalna), chcieli i wreszcie ogłosili się też góralską republiką niezależną, którą proklamowano w tamtejszym... Poroninie... (Ber-neo), wywieszając przytem czerwone sowieckie szlondary... Unamuno dostawczy definitywnego obrzydzenia i odrady do wszystkich swoich przyjaciół politycznych, zerwawszy z nimi stosunki, został przez rozwieściłą bandę radikoków i radek-alów ogłoszony (napiętnowany), jako „wrogi republiki”. Mafja awanturników, karierowiczów, ekstremistów i wprost rzezimichów w swoich wrzaskliwych brukowych szmatkach (Libertad, Liberal, Luz, Voz etc.) odsadzała swego rodzica ideowego od czci i wiary i nie było takich kalumnij, jakimi by nie obsypywano sędziwego myśliciela i genialnego stylistę.

Nowy Don Kiszot czuć się musiał, jak stary król Lear, lub jak Noe, obrzucany obelgami przez rodzonych córy, to jest pisma, które on sam pozakał. Toteż nie długo wytrwał Unamuno w godności prezesa politycznego -- demokratycznego klubu „Ateneum”. Zrzekł się i tego skromnego dostojństwa, strzepnął kurz ze sandałów, splunął i wyjechał do Salamanci, by się już nigdy nie pokazać w Madrycie, opanowanym przez moralną hołotę, której on w wydobyciu się na wieżach i w zrobieniu zawrotnych karier głównie pomógł. Przeszedł też pisać i wypowiadać się, zresztą przestali wogóle wszyscy „kler-kowie” i intelektualni hiszpańscy, przeżarci i oślupiali tem rozpanoszeniem i rozbestwieniem najnikczemniejszych instynktów i najgłupszych elementów, które traktując wokół kopytami rozsiali się na wszystkich grzędach.

Nie dał też się uprosić i nakłonić zgorzkniałej, przepełnionej bólem starzec na przyjazd do Meridy, aby asystować owacjom, jakie pięciotysięczny tłum widzów, zgromadził jego „Medei”. Bał się zetknięcia z orędownikami podpalaczy, bandytów, morderców i Trockistów... Zamknął się szczelnie, aby doń nie dochodziły nawet najdalsze echa bratobójczej rzezi i rzeźni.

Oby jeszcze przynajmniej dożył autor II-go Don Kiszota tego, że szereg koniecznych reform i przemian racjonalnych, jakich nie mieli czasu, ochoty i energii przeprowadzić lewicowi plebej-secy warcholi (Kiereńczycy), przeprowadzili inni, młodzi tradycjonalisci, ludowcy z Gil Rob-lemsem na czele, w pierwszym rzędzie, oczywiście, reformę rolną, w drugim reformę szkolnictwa w dawnym duchu i sensie!

W każdym razie pięknie sobie poczęła „La Barracca”, dając Medea (Seneci) Unamuna. Hold to niejako dla dostojnego starszego pana, który nie zaważał się publicznie dezaprobować gospodarki „etosu” swoich własnych ongi elewów i pupilów. „La Barracca” będzie teraz miała ciężkie przeżycia i przeżyca. Oby szybko zerwała ze siebie palacę, czerwona koszulę Dejaniry i zawróciła do tradycji dramatycznych, ale nie wielkich... pogańskich... Graków, tylko wielkich chrześcijańskich Hiszpanów: przeora di Molina, braciszka Lope de Vegi i do księdza Calderona. Sceniczna twórczość na tym półwyspie albo może być Calderonowska z ducha, albo żadna. Nowe talenty pisarskie, dramatyczne, zdają się już wchodzić na patetyczne drogi misterjów i autos sacramentales. Zgodnie z erą wulkaniczną, czy socjalną, przez jaką przechodzi w wielkiej mierze także Hiszpania, konieczne i nieodzowne dla tych pisarzy byłoby też przejęcie się pełne ideologią i programem znanych dwóch ważnych encyklik, bez wpadania aż w rewolucyjny chrześcijański komunizm... księdza Juana Garcia Morales.

„ABC” w Warszawie zwraca się do „ABC” w Madrycie, aby wpłynęło na uratowanie „La Barracci” hiszpańskiej; skoro już niema podróży po Polsce Reduty Osterwy, niech będzie przynajmniej tam w cudem uratowanej i ocalałej Iberji.

Zdzisław Broncel

W „Gospodzie poetów” Bojka o ludziach zakochanych

„Dudni woda, dudni, w cembrowanej studni — zakochać się łatwo, a odkochać trudno”.

Musieli murarze śpiewać tę piosenkę, budując w Głębach na Śląsku Cieszyńskim biały domek z czerwonym dachem. Stawiali go nie dla Ślązaczki, ale właśnie dla takiej jednej z tych, co zakochały się w Śląsku. I ani rusz odkochać się nie mogą. Nawet im życia nie starcza na tę miłość. Nawet po śmierci chcą, żeby tu trwał ich ślad.

Bo właścicielka domu w Głębach, Zofia Degen - Słórsarska, dziś gospodyni i pani na „Zdroju” (tak się dom nazywa) myśli w przyszłości zrobić fundację. I o czyją to pamięć najwięcej zabiega? Komu oddaje zacisze w Głębach? Poetom! Śląskim poetom!

Przed domem wytryska źródło, ujęte w ocembrzynę, a nad nim płaski kamień dźwiga napis, wybrany ze „Śląska” Morcinka:

„Woda jest zimna i przynosząca zdrowie, — bo gdy ją pijesz, myślisz, że płynne słońce pijesz”.

Tryska więc źródło, słoneczne źródło bijące jakby z samej by miłowania, dom nazywa się „Zdrojem” i każdego, kto go nawiedzi, częstuje chlebem radości i solą zdrowia.

Pani Degen - Słórsarska, matkująca w „Zdroju” jest dyrektorką gimnazjum we Włocławku. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Włocławek, a gdzie Śląsk — a przecież właśnie tu wystawiła dom. Pegazową gospodę. Jakby czuła, że najlepaze jest miejsce na schronisko dla poetekich powisnógów, że ich szlak będzie ciągnął przez Śląsk. Kto poeta, ten na Śląsk. W świat fabryk i kopalń i w zielony świat cieszyńskiego Beskidu.

Jeden za drugim, spoczątku ostrożnie, potem śmiejąc zlatywały się ptaki. Zawitał Sztaudynger, Kuglin, przyjaciel domu — Gustaw Morcinek z siostrą, panną Tereską, fotografowie Jejknierowie, malarz Kidoń, dalej Ligoń, Zelechowski, Alfred Jesionowski, Zegadłowicz, Wojciech Bakowski — poeta poznański, ksiądz Grim, piewca beskidzkiego krajoznawca entuzjasta starych, górskich obyczajów. Od słowa do słowa, przewano „Zdrój” — „Gospodę poetów”.

Skoro zaś „Gospoda”, skoro kąt swój, własny — zaczęto znosić prezenty. Więc przedewszystkiem hojny Jan Kuglin. Ten zapakał wielką księgę, oprawną w świąską skórę i przyniósł, żeby była księgą gości. Następnie dał początek bibliotecę, ofiarowując 44 tomy w artystycznych oprawkach, z exlibrisem, pokazującym „Gospodę poetów”. Jest w tem „Historja o świątku” Zegadłowicza,

niemał wszystkie tomy wydane dotąd „Biblioteki studwudziestu”, jest egzemplarz „Białego Słonia” z autografem Janty - Polczyńskiego, jest przepiękna edycja „Pieśni wieczornej” Kasprowicza.

I od przykładu Kuglina zrobiło się tak — że poeta za gościńca musi płacić własnym sercem. A że serce poety jest w wierszach, w książkach, więc kto odwiedza „Gospodę” ten zostawia wszystkie swoje dzieła. Wzbogaca się więc księgozbiór utworami Morcinka, Marii Dąbrowskiej, Sztaudyngera, Bakowskiego, Grima, Zelechowskiego, Zegadłowicza, Kossak - Szczuckiej.

Rosną księgi na półkach, rośnie spis w księdze gości, coraz więcej ludzi poznaje drogę do Głębiec.

Gdzie się z kimś spotkać na Śląsku? Ano, w „Gospodzie”! Tu się zbierają zjadły, tu pociągami gonią na niedzielną gawędę rozrzućeni po całym Śląsku przyjaciele.

Od Pszczyny, od Jesionowskiego — dwa skoki do Głębiec. Od Skoczowa — czyli od Morcinka i Kossak - Szczuckiej — jeden skok, i nawet z Warszawy nie musi być daleko, jeśli Dąbrowska przyjechała na poświęcenie domu.

Była to uroczystość. Niewiadomo, czy jej dorówna, a czy może ją przewyższy Boże Narodzenie. Bo na święta w Głębach tłum. Literacka brat zebrała się na oplatek. Jeżdżą nawet Ślązacy po Polsce i zapraszają: No, przyjeżdżcie! Ale, nie mówcie? Jakże — takie kochane chłopcy będą, przyjeżdżcie, nie turbujcie się — wszystko cudnie będzie!

Poświęcono więc latem „Gospodę”. O ile kiedyś „Gospoda poetów” przestanie istnieć, biblioteka i zbiory pójdą do Muzeum Cieszyńskiego; póki zaś stanie gospodarzy i gości. „Gospoda” stoi otworem — znajomy, nieznajomy, byle miał legitymację w dobrym uśmiechu i w dobrym spojrzeniu, bę dzie godnie przyjęty.

Święcił ks. Plewczyński z Warszawy, kompozytor, autor oratorji grywanych z powodzeniem w Anglii i Szwajcarji. Na poświęcenie

zeszli się górali i góralki, były tańce, była zabawa, nawet rozweseliła się najpoważniejsza z literatek — Dąbrowska.

Tym samym pociągami, co Dąbrowska, przyjeżdżał ks. Grim. Są na Śląsku najpiękniejsze połączenia: ksiądz piszący wiersze. Pralał dostojny, w sutannie z purpurowymi blaskami, układał poematy sceniczne o Wandzie, jak „Jasełka śląskie”, „Kwiat paproci”, „Dwa orły śląskie” i wiersze „Z nad brzegów Olzy”.

Siedzieli tedy ra furce — istebniański proboszcz i pani niewysoka, w stroju turystycznym, z plecakiem na ramieniu. Wiozł ich Jesionowski, nadworny herold „Gospody”, wszędzie ogłaszający jej chwałę. Jej ciszę i przytulność, gościnność i serdeczność gospodnej gaźdźni.

Jesionowski najpierw uderza w sentyment, potem opowiada anegdoty o „Gospodzie” i jej mieszkańcach.

Oto np. w czasie, gdy praca pozabiera wszystkich, na stróżowni zostaje reemigrant z Francji, pan Cieślars. Ten znów jest ożywionymi „Wierzbami nad Sekwaną”, Istna kronika emigranckiej historii. Wieczorem niezawieda biblioteczny pokój i mówi o polskiej niedoli i doli we Francji. Najgorzej jest tam z nieznajomością języka, na tem tle bywają i przykre zdarzenia i wesołe sytuacje.

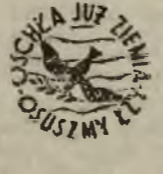
Np. zamierza jakiś, niedawno do Francji przybyły parobczak iść do lekarza kopalnianego. Ostrzegają go, że na pewno nie wiele wskóra, bo nie zrozumie się z lekarzem. Chłopak odważny i śmiały zapewnia, że jakoś to będzie.

A potem między lekarzem i pacjentem taka rozmowa:

— Vous êtes malade?
— Ja, dwadzieścia jeden lat.
— Vous êtes blessé?
— No, toć w plecy.
— Beaucoup?
— I w boku też...

Po powrocie parobek oświadczył: Ii, wielkie rzeczy, fajnie się rozmawia! Miałem się też o co kłopotać...

OSCHŁA JUŻ ZIEMIA,
OSUSZMY ŁZY...



Czy w Twoim lokalu wisi
nalepka, świadcząca, że opo-
datkowałeś się na rzecz po-
wodzian?